

Miłość jako stan emocjonalny — podskórna, potężna, zakazana,
nieskończenie cierpliwa — przenika strony powieści Hosseiniego.

„O, The Oprah Magazine”

TYSIĄC WSPANIAŁYCH SŁOŃC

Niezwykłe wzruszająca historia
spisana piękną prozą.

„USA Today”

KHALED HOSSEINI

ALBATROS

1

Mariam miała pięć lat, kiedy po raz pierwszy usłyszała słowo *harami*.

Stało się to w czwartek. To musiał być czwartek, ponieważ Mariam pamiętała, że tego dnia była niespokojna i przejęta, a tak czuła się jedynie w czwartki, kiedy Dżalil odwiedzał ją w jej *kolbie*. By zająć się czymś do chwili, gdy go ujrzy i pobiegnie, machając do niego przez wysoką do kolan trawę, Mariam wspięła się na krzesło i zdjęła należący do jej mamy chiński zestaw do herbaty. Zestaw do herbaty był jedynym reliktem, jaki mama Mariam, Nana, odziedziczyła po swej matce, która osierociła Nanę w wieku pięciu lat. Nana bardzo ceniła sobie tę niebiesko-białą porcelanę, eleganckie wygięcie dzióbka dzbanka, ręcznie malowane małe ptaszki, chryzantemy i smoka na cukierniczce, który miał odpędzać zło.

I to właśnie ta ostatnia część zestawu wyslizgnęła się z rąk Mariam na drewnianą podłogę i pękła. Kiedy Nana zobaczyła cukiernicę, jej twarz poczerwieniała, górna wargę zaczęła drżeć, a oczy, zarówno to nieruchome, jak i zdrowe, spoczęły na Mariam. Ani razu nie mrugnęła. Nana wyglądała na tak szaloną, że Mariam bała się, że dzinn znów wejdzie w ciało jej matki. Ale dzinn nie przyszedł, nie tym razem. Zamiast tego Nana złapała Mariam za nadgarstki, przyciągnęła ją do siebie i przez zaciśnięte zęby powiedziała:

– Ty niezdarna mała *harami*. Oto moja nagroda za wszystko, co musiałam znosić. Niezdarna mała *harami*, która tłucze rodzinne pamiątki.

Mariam nie rozumiała tego wtedy. Nie wiedziała, co oznacza słowo *harami* – nieślubne dziecko. Nie była też na tyle dorosła, by dostrzec niesprawiedliwość, nie wiedziała, że to rodzice *harami* są winni, a nie *harami*, których jedynym grzechem jest, że się narodziły. Ale Mariam domyśliła się po sposobie, w jaki Nana wymawiała to słowo, że *harami* jest czymś obrzydliwym i wstrętnym jak robak czy czmychające spod nóg karaluchy, które Nana zawsze przeklinała i wymiatała z domu.

Później kiedy Mariam była starsza, zrozumiała znaczenie tego słowa. To przez sposób, w jaki Nana je wymawiała – a raczej nie tyle wymawiała, ile wypływała – Mariam czuła się nim dotknięta do żywego. Wtedy zrozumiała, co Nana miała na myśli: *harami* jest niechcianą rzeczą, a ona, Mariam, jest nieślubnym dzieckiem, które nigdy nie będzie miało prawa do tego, co mają inni ludzie: miłości, rodziny, domu, akceptacji.

Dżalil nigdy nie nazywał tak Mariam. Dżalil mawiał, że jest jego małym kwiatuszkiem. Lubił sadzać ją sobie na kolanach i opowiadać jej historie, jak wtedy, gdy powiedział, że Herat, miasto, w którym 1959 roku Mariam przyszła na świat, było kolebką perskiej kultury, domem pisarzy, malarzy i sufich.

– Nie sposób było wyciągnąć nogi, bo od razu niechący kopało się w tyłek jakiegoś poetę – śmiał się.

Dżalil opowiedział jej historię królowej Gauhar Szad, która w piętnastym wieku zbudowała słynne minarety jako odę do jej ukochanego Heratu. Opisywał zielone pola pszenicy za miastem, sady, krzewy winorośli ciężkie od dojrzałych owoców, zatłoczone bazy pod łukowymi sklepieniami.

– Rośnie tam drzewo pistacjowe – powiedział któregoś

dnia Dżalil – a pod nim, Mariam *dżun**, pochowany jest wielki poeta Dżami. – Nachylił się i dodał szeptem: – Dżami żył ponad pięćset lat temu. Naprawdę. Kiedyś cię tam zabrałem, tam gdzie rośnie to drzewo. Byłaś małeńka. Na pewno tego nie pamiętasz.

To była prawda – Mariam nie pamiętała. I choć przez piętnaście lat swojego życia mieszkała niedaleko od Heratu, nigdy nie miała zobaczyć drzewa z jego opowieści. Nigdy nie miała zobaczyć z bliska słynnych minaretów i nigdy nie miała zbierać owoców z sadów Heratu ani przechadzać się po polach pszenicy. Ale zawsze, kiedy Dżalil opowiadał, Mariam słuchała jak zaczarowana. Podziwiała Dżalila za jego rozległą wiedzę o świecie. Rozpierała ją duma, że ma ojca, który wie takie rzeczy.

– Jakie bogate kłamstwa! – sarknęła Nana po wyjściu Dżalila. – Bogaty mężczyzna, opowiadający bogate kłamstwa. Nigdy nie pokazał ci żadnego drzewa. I nie daj mu się oczarować. Ten twój ukochany tata nas zdradził. Wyrzucił nas. Wyrzucił nas ze swojego wielkiego wspaniałego domu, jakbyśmy nic dla niego nie znaczyły. Zrobił to bardzo ochoczo.

Mariam słuchała tego posłusznie. Nigdy nie odważyła się powiedzieć Nanie, jak bardzo nie lubi, gdy mówi w ten sposób o Dżalilu. Prawda była taka, że przy nim Mariam wcale nie czuła się jak *harami*. Przez godzinę lub dwie, w każdy czwartek, Mariam czuła, że zasługuje na całe piękno i dobro, jakie życie ma do zaoferowania. I za to Mariam kochała Dżalila.

Choć musiała się nim dzielić.

Dżalil miał trzy żony i dziewięcioro dzieci – dziewięcioro

* *Dżun* (pers.) – m.in. dusza, duszyczka; przy imieniu oznacza „droga”, „kochana”.

prawowitych dzieci, których Mariam nie znała. Był jednym z najbogatszych ludzi w Heracie. Miał kino, którego Mariam nigdy nie widziała, ale na jej usilne prośby Dżalil opowiedział o nim, więc wiedziała, że fasadę zdobią niebieskie i jasnobrązowe płytki z terakoty, że w środku są prywatne łóżce, a sufit jest kratkowany. Podwójne wahadłowe drzwi prowadziły do holu wyłożonego płytkami ceramicznymi, gdzie wisiały oprawione w szkło plakaty z hinduskich filmów. We wtorki, powiedział jej kiedyś Dżalil, dzieci dostają lody za darmo.

Nana uśmiechała się łagodnie, kiedy o tym mówił. Odczekała, aż Dżalil opuści ich dom i dopiero wtedy uśmiechnęła się złośliwie i mruknęła:

– Obce dzieci dostają lody. A ty co dostajesz, Mariam? Opowieści o lodach.

Oprócz kina Dżalil posiadał również ziemię w Karruch, ziemię w Farah, trzy sklepy z dywanami, sklep odzieżowy i czarnego buicka roadmastera rocznik 1956. Był jednym z najbardziej ustosunkowanych ludzi w Heracie, przyjaźnił się z merem miasta i gubernatorem prowincji. Miał kucharza, kierowcę i trzy gosposie.

Nana była jedną z nich. Dopóki nie zaczęła jej rosnąć brzuch.

Kiedy to się stało, cała rodzina Dżalila wzięła, jak opowiadała Nana, tak głęboki oddech, że wyciągnęła powietrze z całego Heratu. Jego teściowie przysięgali, że poleje się krew. Żony zażądały, by ją wyrzucił. A ojciec Nany, skromny rzemieślnik rzeźbiący w kamieniu, z pobliskiej wioski Gol Daman, wyrzekł się jej. Zhańbiony spakował manatki, wsiadł do autobusu jadącego do Iranu, po czym słuch o nim zaginął.

– Czasami – stwierdziła Nana któregoś ranka, karmiąc kurczaki przed *kolbą* – żałuję, że ojcu zabrakło odwagi, by naostrzyć nóż i postąpić honorowo. Tak mogło być dla mnie lepiej. – Rzuciła kolejną garść ziaren do kojca, zamilkła, spojrzała na Mariam i dodała: – Może lepiej również dla

ciebie. Przynajmniej nie cierpiałabyś, wiedząc, że jesteś tym, kim jesteś. Ale on był tchórzem, ten mój ojciec. Brak mu było *del*, serca, aby to uczynić.

Działil też nie miał *del*, rzekła Nana, by postąpić honorowo. Przeciwstawić się rodzinie, żonom i teściom i wziąć odpowiedzialność za to, co uczynił. Zamiast tego za zamkniętymi drzwiami szybko dobito targu, który miał uratować jego twarz. Następnego dnia kazał jej spakować skromny dobytek i ją odesłał.

– Wiesz, co powiedział żonom na swoje usprawiedliwienie? Że ja go do tego zmusiłam. Że to była moja вина. *Didi*? Widzisz? Oto, co znaczy być kobietą na tym świecie.

Nana odstawiła miskę z karmą dla kurczaków i uniosła palcem podbródek Mariam.

– Spójrz na mnie, Mariam.

Mariam z ociąganiem podniosła wzrok.

Nana powiedziała:

– Naucz się tego, i to dobrze, córko. Tak jak igła kompasu zawsze wskazuje północ, tak oskarżycielski palec mężczyzny zawsze znajdzie kobietę. Zawsze. Pamiętaj o tym, Mariam.

2

Dla Dżalila i jego żon byłam szkarłatką. Bylicą. I ty też. A nawet jeszcze nie przyszedł na świat.

– Co to jest szkarłatka? – spytała Mariam.

– Chwast – odpowiedziała Nana. – Coś, co wyrwasz i odrzucasz na bok.

Mariam odczuła wewnętrzny opór. Dżalil nigdy nie traktował jej, jakby była chwastem. Nigdy. Ale Mariam uznała, że rozsądniej jest zachować te przemyślenia dla siebie.

– Ale mnie w przeciwieństwie do chwastu trzeba było przesadzić, dać mi jedzenie i wodę. Z twojego powodu. Taką umowę zawarł Dżalil ze swoją rodziną.

Nana powiedziała, że odrzuciła propozycję zamieszkania w Heracie.

– Po co? Żebym całymi dniami oglądała, jak obwozi swoje żony *kinczini* po mieście?

Nie chciała również zamieszkać w pustym domu swojego ojca w wiosce Gol Daman, na zboczu wzgórza, dwa kilometry za Heratem. Woląла zamieszkać gdzieś na uboczu, w odosobnieniu, gdzie sąsiedzi nie wpatrywaliby się w jej brzuch, nie wytykali jej palcami, nie węszyli albo, co gorsza, obrażali nieszczerą uprzejmością.

– I uwierz mi – mówiła Nana – dla twojego ojca było to prawdziwą ulgą. Bardzo mu to pasowało, że znikłam mu z

oczu.

To Mohsen, najstarszy syn Dżalila i jego pierwszej żony Chadidzi, zaproponował tę polanę. Znajdowała się pod wioską Gol Daman. Żeby do niej dotrzeć, trzeba było iść w górę wzgórza wyboistą zabloconą ścieżką odchodzącą od głównej drogi łączącej Gol Daman z Heratem. Po obu jej stronach rosła wysoka do kolan trawa, wśród której jaśniały białe i żółte kwiatki. Ścieżka wiała się w górę aż do płaskiego pola, gdzie rosły strzeliste topole i kępy dzikich krzaków. Można było stamtąd dostrzec końce zardzewiałych łopat wiatraka w wiosce Gol Daman, a po obu stronach rozciągał się widok na cały Herat. Ścieżka kończyła się przy szerokim, pełnym pstrągów strumieniu, który spływał z gór Safed-koh otaczających wioskę Gol Daman. Dwieście metrów w górę strumienia, bliżej gór, rosła kępa wierzb. Pośrodku, w cieniu wierzb, znajdowała się ta polanka.

Dżalil pojechał ją zobaczyć. Kiedy wrócił, opowiadała Nana, mówił jak strażnik chępiący się czystymi ścianami i lśniąca posadzką swojego więzienia.

– I tak twój ojciec zbudował dla nas tę mysią dziurę.

Kiedyś, kiedy Nana miała piętnaście lat, niewiele brakowało, a wyszłaby za męża. O jej względy zabiegał chłopak z Szindandu, młody sprzedawca papug. Mariam знаła tę historię bezpośrednio od Nany i choć Nana lekceważyła ten epizod, Mariam z jej pełnych nostalgii oczu wyczytała, że była wtedy szczęśliwa. Być może jedyny raz w życiu, w ciągu tamtych dni poprzedzających wesele Nana była wtedy naprawdę szczęśliwa.

Kiedy Nana o tym opowiadała, Mariam siedziała na jej kolanach i próbowała wyobrazić sobie swoją mamę szykującą się do włożenia sukni ślubnej. Wyobrażała ją sobie siedzącą na koniu, uśmiechającą się nieśmiało zza woalki, w zielonej

sukni, z dłońmi pomalowanymi na czerwono henną, włosami obsypanymi srebrnym pyłem, warkoczykami utrwalonymi żywicą. Widziała muzyków grających na fletach *shahnaj* i bijących w bębny *dohol*, gromadę biegnących rozkrzyczanych dzieci na ulicy.

Potem, tydzień przed planowaną datą ślubu, w ciało Nany wszedł džinn. Tego nie trzeba było Mariam opisywać. Widziała to na własne oczy wystarczająco dużo razy. Nana nagle traci przytomność, jej ciało napina się, sztywnieje, przewraca oczami, jej ręce i nogi drżą, jakby coś ją dusiło od wewnątrz, w kącikach ust pojawia się piana, biała, a czasem różowa, pomieszana z krwią. A potem senność, przerażająca dezorientacja, nieskładne mamrotanie.

Kiedy wiadomość dotarła do Szindandu, rodzina sprzedawcy papug odwołała ślub.

– Wystraszyli się – tak tłumaczyła to Nana.

Suknia ślubna została schowana. Kolejnych kandydatów nie było.

Dżalil i jego synowie, Farhad i Mohsen, zbudowali na polanie małą *kolbę*, w której Mariam miała przeżyć pierwsze piętnaście lat swojego życia. Zbudowali ją z suszonych na słońcu cegieł i obłożyli błotem i garściami traw. Były w niej dwa posłania, drewniany stół, dwa proste krzesła, okno i przybite do ścian półki, na których Nana ustawiła gliniane garnki i swój ukochany zestaw do herbaty. Dżalil zainstalował nowy żeliwny piecyk na zimę, a za domem ułożył stos polan. Na zewnątrz zrobił *tandur*, piec do pieczenia chleba, i kojec dla kur. Przyprowadził kilka owiec i zbudował dla nich koryto do karmienia. Farhadowi i Moshenowi kazał wykopać głęboki dół sto metrów za kępą wierzb i postawił na nim wychodek.

Dżalil mógłby wynająć robotników do zbudowania *kolby*, powiedziała Nana, ale tego nie uczynił.

- Jego koncepcja pokuty.

Według wersji Nany w dniu, w którym urodziła Mariam, nikt nie przyszedł jej pomóc. Stało się to w wilgotny, pochmurny dzień wiosną 1959 roku, opowiadała, w dwudziestym szóstym roku w większości spokojnego panowania króla Zahera Szaha. Dżalil nie zadał sobie trudu, aby wezwać lekarza czy położną, choć wiedział, że dżinn może wejść w jej ciało i wywołać w trakcie porodu atak. Leżała sama na podłodze, z nożem u boku, a pot oblewał całe jej ciało.

– Kiedy ból się nasilał, gryzłam poduszkę i krzyczałam, aż całkiem ochrypłam. A ty, Mariam *dżun*, wcale się nie spieszyłaś. Niemal przez dwa dni musiałam przez ciebie leżeć na zimnej twardej podłodze. Nie jadłam ani nie spałam, tylko parlałam i modliłam się, żebyś wreszcie wyszła na zewnątrz.

- Przepraszam, Nano.

– Sama przecięłam pępowinę pomiędzy nami. Dlatego miałam nóż.

- Przepraszam.

Na twarzy Nany zawsze pojawiał się wtedy słaby uśmiech zatroskania i wciąż żywego oskarżenia lub niechętnego przebaczenia, Mariam nigdy nie była pewna. Małeńka Mariam nie zastanawiała się nad tym, jaka to niesprawiedliwość zmuszać dziecko, by przepraszało za sposób, w jaki przyszło na świat.

Kiedy wreszcie się nad tym zastanowiła, a miała wtedy mniej więcej dziesięć lat, nie wierzyła już w opowieść o swoich narodzinach. Wierzyła w wersję Dżalila, zgodnie z którą Dżalil, choć w tym czasie wyjechał z Heratu, załatwił Nanie szpital i opiekę lekarza. Leżała w czystym łóżku w jasno oświetlonym pokoju. Dżalil ze smutkiem pokręcił głową, kiedy dziewczynka opowiedziała mu o nożu.

Mariam zaczęła też powątpiewać, czy rzeczywiście Nana

cierpiała przez nią aż dwa dni.

– Poinformowali mnie, że wszystko trwało jakąś godzinę
– rzekł Dżalil. – Byłaś dobrą córką, Mariam *dżun*. Już od chwili narodzin byłaś dobrą córką.

– Nawet go tam nie było! – warknęła Nana. – Był w Tacht-e-Safar, jeździł sobie konno ze swoimi wspaniałymi przyjaciółmi.

Kiedy Dżalil dowiedział się, że ma kolejną córkę, powiedział Nana, wrzucił ramionami, wciąż głaszcząc konia po grzywie, i został w Tacht-e-Safar przez kolejne dwa tygodnie.

– Prawda jest taka, że po raz pierwszy wziął cię w ramiona, dopiero kiedy miałaś miesiąc. Rzucił na ciebie okiem, stwierdził, że masz długą buzię, i od razu mi ciebie oddał.

Mariam z czasem zaczęła powątpiewać również w tę część historii. Tak, Dżalil przyznał, że jeździł wtedy konno w Tacht-e-Safar, ale kiedy otrzymał wiadomość, nie wrzucił ramionami, tylko wskoczył na konia i pognął do Heratu. Wziął ją w ramiona, przesunął kciukiem po jej łuszczących się brwiach i zanucił kołysankę. Mariam nie wyobrażała sobie, że Dżalil mógłby powiedzieć, że ma długą buzię, choć naprawdę jej twarz była pociągła.

Nana mówiła, że wybrała imię Mariam, ponieważ tak miała na imię jej matka. Dżalil twierdził, że to on wybrał to imię, ponieważ „mariam”, tuberoza, jest ślicznym kwiatkiem.

– Twoim ulubionym? – spytała Mariam.

– Tak, jednym z moich ulubionych – odpowiedział Dżalil z uśmiechem.

3

Jednym z najwcześniejszych wspomnień Mariam jest odgłos skrzypiących żeliwnych kół taczek podskakujących na kamieniach. Taczki przyjeżdżały raz w miesiącu obładowane ryżem, mąką, herbatą, cukrem, oliwą do gotowania, mydłem i pastą do zębów. Pchali je przyrodni bracia Mariam, zazwyczaj był to Mohsen i Ramin, czasem Ramin i Farhad. Pod górę, po zabłoconej ścieżce, kamieniach i żwirze, przez dziury i chaszcze chłopcy na zmianę pchali taczki aż do strumienia. Tam wózek trzeba było rozładować i przenieść wszystkie produkty na drugą stronę. Potem przeprowadzali taczki przez strumień i znów je ładowali. Kolejne dwieście metrów pchania, tym razem przez wysokie gęste trawy, pomiędzy kępami krzaków. Żaby uciekały im z drogi. Bracia odginali muchy ze swoich spoconych twarzy.

– Ma służących – zauważyła Mariam. – Mógłby wysłać służących.

Turkot kół sprawił, że Mariam i Nana wyszły na zewnątrz. Mariam na zawsze zapamiętała Nanę taką, jak zazwyczaj wyglądała w Dniu Zaopatrzenia: wysoka koścista kobieta, stojąca boso w progu, jej nieruchome oko zmrużone tak, że widać tylko szparkę, ręce skrzyżowane na piersiach w arogancki, drwiący sposób. Krótko obcięte włosy, rozjaśnione od słońca, odkryte i nieuczesane. Wkładała źle dopasowaną

szarą koszulę zapiętą pod samą szyję, a w kieszeniach miała kamyki wielkości orzechów.

Chłopcy siadali nad strumieniem i czekali, aż Mariam i Nana przeniosą produkty do *kolby*. Dobrze wiedzieli, że nie mogą podejść bliżej niż na trzydzieści metrów, choć Nana nie rzucała zbyt celnie i większość kamyków lądowała daleko od nich. Nana krzyczała na chłopców, wnosząc torby ryżu do domu i wyzywała ich, ale większości tych słów Mariam nie rozumiała. Przeklinała ich matki, robiła do nich pełne nienawiści grymasy. Chłopcy nigdy nie odpowiadali na te wyzwiska.

Mariam było ich żal. Muszą ich boleć ręce i nogi, myślała ze współczuciem, po pchaniu takiego ciężkiego ładunku. Żałowała, że nie może podać im wody. Ale nic nie mówiła, a gdy do niej machali, nie reagowała. Kiedyś, aby sprawić przyjemność Nanie, Mariam krzyknęła nawet na Mohsena, powiedziała, że jego usta przypominają tyłek jaszczurki – a potem dręczyło ją poczucie winy, wstyd i lęk, że chłopcy powtórzą to Dżalilowi. Ale Nana zaczęła śmiać się tak bardzo, pokazując zepsute przednie zęby, że Mariam pomyślała, że za moment dostanie ataku. Kiedy przestała, popatrzyła na Mariam i powiedziała: „Dobra z ciebie córka”.

Kiedy taczki były puste, chłopcy wstawali i ruszali w drogę powrotną, a Mariam czekała, aż znikną wśród wysokich traw i kwitnących chwastów.

- Wchodzisz do środka?
- Tak, Nano.
- Śmieją się z ciebie. Naprawdę. Słyszę ich.
- Już idę.
- Nie wierzysz mi?
- Już jestem.
- Wiesz, że cię kocham, Mariam *dżun*.

Rankami budziło ich dalekie beczenie owiec i wysokie dźwięki fletów używanych przez pasterzy z Gol Daman prowadzących stada na trawiaste wzgórze. Mariam i Nana doily kozy, karmiły kury i zbierały jajka. Razem piekły chleb. Nana nauczyła córkę wyrabiać ciasto, rozpalać piec *tandur* i rzucać rozwałkowane ciasto na wewnętrzne ściany pieca. Nana nauczyła ją też szyć, gotować ryż i przyrządzać różne potrawy: potrawki z rzepą *shalgham*, szpinakowe *sabzi*, kalafior z imbirem.

Nana nie ukrywała, że nie lubi gości – i w gruncie rzeczy ludzi w ogóle – ale dla kilku osób robiła wyjątek. Był zatem wójt wioski Gol Daman, Habib Chan, brodaty mężczyzna o małej głowie i dużym brzuchu, który przychodził mniej więcej raz w miesiącu w towarzystwie służącego, który niósł kurczaka, a czasem garnek z ryżem *kichiri* albo koszyk malowanych jajek dla Mariam.

Potem była pulchna starsza kobieta, nazywana przez Nanę Bibi *dżun*, której zmarły mąż był kamieniarzem i przyjacielem ojca Nany. Bibi *dżun* zawsze przychodziła z jedną ze swych sześciu synowych i jednym albo dwoma wnukami. Szła ścieżką, utykając, nabzdyczona, i zawsze odstawiała widowisko, rozcierając sobie biodra i opadając z westchnieniem bólu na krzesło, które przysuwała jej Nana. Bibi *dżun* również zawsze przynosiła coś dla Mariam – pudełko słodkich *diszleme* albo koszyk pigw. Dla Nany zawsze miała najpierw narzekania na temat swego podupadającego zdrowia, a potem plotki z Heratu i Gol Daman, które opowiadała powoli i z przyjemnością, a jej synowa cichutko i grzecznie siedziała z tyłu za nią.

Ale Mariam najbardziej lubiła, oczywiście poza Dżalilem, mułłę Faizullaha, starszego wiejskiego nauczyciela Koranu, miejscowego *achunda*. Przychodził raz albo dwa razy w tygodniu z Gol Daman i uczył Mariam odmawianych pięć razy dziennie modlitw *namaz* oraz recytacji Koranu, tak samo jak niegdyś uczył Nanę, kiedy była dzieckiem. To mułła Faizullah

nauczył Mariam czytać, cierpliwie zaglądał jej przez ramię, gdy jej usta bezdźwięcznie starały się powtórzyć litery, a palec wskazujący przesuwiał się pod każdym słowem, z tak dużym naciskiem, że aż białły jej paznokcie, zupełnie jakby chciała wycisnąć znaczenie z niezrozumiałych znaków. To mułła Faizullah trzymał jej dłoń, kierował ołówkiem, który ścisnęła przy każdym wznoszącym się *alefie*, każdym zawiniętym *be*, przy każdej z trzech kropek *se*.

Był wychudzonym, zgarbionym starcem z bezzębnym uśmiechem i białą brodą sięgającą aż do pasa. Zwykle przychodził sam, a czasem towarzyszył mu jego rudy, kilka lat starszy od Mariam syn Hamza. Kiedy się zjawiał, Mariam całowała go w rękę – to było tak, jakby całowała wiązkę gałązek pokrytych cienką warstwą skóry – a on całował ją w czoło i zaczynali lekcję. Potem oboje siadali przed *kolbą*, pogryzali orzeszki pinii, popijali zieloną herbatę i przyglądali się śmigającym między drzewami ptaszkom bolbol. Czasem spacerowali wśród brązowych opadłych liści i olszyn wzdłuż strumienia, w stronę gór. Mułła Faizullah w trakcie przechadzki przesuwiał paciorki różańca *tasbih* i drżącym głosem opowiadał Mariam o tym, co widział w młodości, na przykład o dwugłowym wężu, którego znalazł w mieście Isfahan, w Iranie, na moście o trzydziestu trzech łukach, albo o arbuzie, którego kiedyś rozłupał przed Niebieskim Meczetem w mieście Mazar i odkrył, że nasiona w jednej połowie tworzą słowo „Allah”, a te w drugiej słowo „Akbar”.

Mułła Faizullah przyznał się Mariam, że czasem sam nie rozumie znaczenia niektórych słów Koranu. Ale powiedział, że lubi czarujący dźwięk arabskich słów, które wypływają z jego ust. Twierdził, że przynoszą mu ulgę, koją jego serce.

– Tobie również przyniosą ulgę, Mariam *dżun* – mówił. – Możesz przywołać je, gdy będą ci potrzebne. Nie zawiodą cię. Słowo boże nigdy cię nie zdradzi, moje dziecko.

Mułła Faizullah nie tylko opowiadał, ale również słuchał.

Kiedy Mariam opowiadała, zawsze był skupiony na jej słowach. Potakiwał i uśmiechał się z wdzięcznością, jakby otrzymał upragniony przywilej. Mariam chętnie mówiła mu o rzeczach, o których nie odważyłaby się powiedzieć Nanie.

Któregoś dnia podczas spaceru Mariam wyznała mu, że chciałaby pójść do szkoły.

– Mam na myśli prawdziwą szkołę, *achund sahebie*. W której są klasy. Taką, do jakiej chodzi reszta dzieci mojego ojca.

Tydzień wcześniej Bibi *dżun* przyniosła nowiny o córkach Dżalila, Saide i Nahid. Obie wybierały się do szkoły dla dziewcząt, Mehri, w Heracie. Od tego czasu Mariam bez przerwy myślała o klasach i nauczycielach, w jej głowie roilo się od obrazów liniowanych zeszytów, kolumn liczb i długopisów, którymi można pisać ciemne, mocne znaki. Wyobrażała sobie siebie w klasie ze swoimi rówieśnikami. Mariam marzyła o tym, by położyć linijkę na kartce i rysować linie, które wyglądałyby bardzo poważnie.

– Tego chcesz? – spytał mułła Faizullah. Patrzył na nią swymi miękkimi, załzawionymi oczami, z rękoma założonymi na plecach, a cień jego turbanu padał na najeżoną jaskrami ścieżkę.

– Tak.

– I chcesz, żebym poprosił twoją matkę o zgodę?

Mariam się uśmiechnęła. Poza Dżalilem nikt inny na świecie nie rozumiał jej lepiej niż stary nauczyciel.

– Zatem, cóż mogę na to poradzić? Bóg, w swej mądrości, każdego z nas obdarzył słabościami, a jedną z moich największych jest to, że nie potrafię ci odmówić, Mariam *dżun* – powiedział, głaszcząc ją po policzku artretycznym palcem.

Ale później, gdy poruszył ten temat z Naną, nóż, którym kroila cebulę, wypadł jej z dłoni.

– Po co?

– Skoro dziewczynka chce się uczyć, powinnaś jej na to

pozwolić, moja droga. Niech dziecko ma wykształcenie.

– Uczyć się? Uczyć się czego, mułło *sahebie*? – spytała ostrym tonem Nana. – Czego można się tam nauczyć? – Rzuciła krótkie spojrzenie Mariam.

Dziewczynka wbiła wzrok w swoje ręce.

– Jaki sens ma posyłanie do szkoły takiej dziewczynki jak ty? To jak polerowanie spluwaczki. A w tych szkołach nie nauczysz się niczego wartościowego. Kobiecie takiej jak ty czy ja potrzebna jest w życiu tylko jedna umiejętność i w szkole się tego nie nauczysz. Spójrz na mnie.

– Nie powinnaś tak do niej mówić, moje dziecko – skarcił ją mułła Faizullah.

– Spójrz na mnie.

Mariam podniosła wzrok.

– Tylko jedna umiejętność. To *tahammol* – wytrzymać.

– Wytrzymać co, Nano?

– Och, tym się nie przejmuj – powiedziała Nana. – Tego nie zabraknie.

Zaczęła mówić o tym, jak żony Dżalila nazywały ją brzydką, pospolitą córką kamieniarza. Jak kazały jej robić pranie na zewnątrz na mrozie, aż jej twarz całkiem zdrętwiała, a odmrożone palce piekły.

– Taki jest nasz los, Mariam. Kobiet takich jak my. Wytrzymać. To jedyne, co mamy. Rozumiesz? Poza tym w szkole będą się z ciebie wyśmiewali. Naprawdę. Będą cię przezywać *harami*. Będą mówili o tobie same najgorsze rzeczy. Nie pozwolę na to.

Mariam pokiwała głową.

– Koniec gadania o szkole. Mam tylko ciebie. Nie oddam cię. Spójrz na mnie. Koniec gadania o szkole.

– Bądź rozsądna, przestań. Skoro dziewczynka chce – zaczął mułła Faizullah.

– A ty, *achund sahebie*, z całym należnym szacunkiem, powinienes być mądrzejszy i nie podsycać tych jej głupich

pomysłów. Jeżeli naprawdę o nią dbasz, to powinienes jej wytłumaczyć, że jej miejsce jest tutaj, w domu, obok matki. Tam nic dobrego jej nie spotka. Tylko odrzucenie i rozdarte serce. Ja dobrze o tym wiem, *achund sahebie*. Ja dobrze wiem.